



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA

Byłem w Nałęczowie; oryginalny sposób przepędzania kanikuly na ciągłych wycieczkach nie jest moim wynalazkiem. Na ten pomysł wpadł jakiś pan X., który dostał dwutygodniowy urlop i spędził go na pokładzie statku parowego pomiędzy Warszawą a Płockiem.

Podobno było mu chłodno i bawił się wcale przyjemnie.

Ja zaś, jako duch niespokojny, lubiący włóczęgowstwo i rozmaitość, postanowiłem wymykać się z Warszawy co tydzień na wycieczki bliższe i dalsze, urządzając sobie taką składaną williegaturę, bez z góry wytkniętego planu.

Byłem tedy z kolei w Nałęczowie, a byłem nie z potrzeby, lecz z prostej ciekawości, która nie zawsze prowadzi do piekła; tym razem zaprowadziła mnie do leczniczego rajku, wysłała mi na dobre i przyjemne, opłaciła się najzupełniej i nauczyła wierzyć nawet... echem kąpielowym, które przechwalają często, albo ganią nad miarę, stosownie do stanu nerwów, wątroby i żołądka korespondentów.

Co do Nałęczowa, pochwały wszelkie były sprawiedliwe i zasłużone. Nie spodziewałem się znaleźć tu tego wszystkiego w takim stanie, w jakim rzeczywiście znalazłem.

Okolica wzgórzysta, lasów nie dużo, ale wegetacja dość bujna, widoki mile dla oczu, słońca i cienia do woli, powietrza do zbytku, produktów wszelkich, przyjemnych dla podniebienia a niezbędnych dla żołądka, w miarę—oto, czem natura wyposażyła Nałęczów. Sztuka zaś i energia ludzka w ciągu lat ośmiu istnienia zakładu leczniczego i osady kąpielowej zrobiły tak dużo, że się oczom własnym wierzyć nie chce.

Kiedy wjeżdżałem do Nałęczowa, przypominały mi się zagraniczne *bady* i *curorty*, istniejące od wieku; wspaniałe wille, zbyt kosztowne, z werandami, mansardami, wieżyczkami, balkonami, murywane i drewniane, w ogródkach, lub przynajmniej bluszczami udrapowane, ciągną się długim szeregiem przy drodze do starego parku, gdzie ze starego dworu magnackiego zrobiono nowy pałac dla kuracuszów.

Dawną siedzibę Małachowskich odrestaurowano z gruntu, podniesiono o jedno piętro, odświeżono, odmalowano i urządzono z szykiem europejskim. Takiej sali balowej ze stiukami, z kominami, ze stylową boazerią na odrzwiach, z gabinetami o jedwabnych obiciach, malowanych sopraportach, z meblami w staroświeckim stylu, z zegarami *antique* na kominkach, nie znajdzie w wielu pałacach, będących w prywatnym posiadaniu.

A park, pełen starodrzewu, długimi alejami poprzerywany, z obszernym stawem, na którym kołyszą się łodzie i baciki zgrabne, z fontanną przed leczalnią, z bramą wjazdową, jak do dawnej rezydencji, z mostkami brzoźowymi, z widokami na uroczyska, a łazienki, a prysznic, a kumysarnia, a zakład hydropatyczny!... musiałbym rozpisać się szeroko i długo, aby o wszystkim wspomnieć, co tu wyrosło zasługą, pracą i staraniem zarządu, w którym Dr. Chmielewski jest dyrektorem, p. Rodkiewicz energicznym administratorem, a Dr. Gustaw Doliński z Lublina duszą towarzyską Nałęczowa.

Powiadają, że tu drogo. Zapewne, i ta opinia od początku stała się fatalnością nowego zakładu; ale można się urządzać tanio i praktycznie, mieszcząc prywatnie, stołując się w domu i obliczając skrupulatniej z wydatkami.

Pieniądze wszędzie tracić można; znałem młodzieńca, który 100,000 rs. potrafił przepuścić w małej prowincjonalnej mieścinie, gdzie nawet szampana nie mógł dostać na zawołanie, tylko

mu go z Warszawy umyślnie sprowadzać musiano.

Podobnież i w Nałęczowie można żyć drożej i taniej, można z 200 rs. miesięcznie ani grosza nie zostawić, ale można i połową tej summy kosztować życia i kuracyi opędzić.

Dzisiaj Nałęczów postawiono na stopie zagranicznych zakładów leczniczych, trochę nawet za forsownie nadano mu ten wysoki poziom, i to się mści na akcyonariuszach; ale powoli wyrównają się niedobory, umorzą długi, wypełnią braki i pomyslniejsza przyszłość pozwoli pozaprowadzać reformy korzystniejsze dla pacjentów.

Nim to nastąpi, należałoby przedewszystkiem postarać się o lepszą restauracyę; odżywianie—to jeden z najważniejszych warunków skutecznej kuracyi. Nie łatwo utyć i przyjść do zdrowia na befsztykach z krowiego mięsa, na cienkich rosolach i leguminach dość podejrzanego smaku.

Kuchnia nałęczowska i piwnica w tym roku są już lepsze, ale jeszcze dużo im braknie do dobroci odpowiedniej stopie całego zakładu.

Dozór lekarski dość liczny i troskliwy; nie byłby wszelako zbyt cennym jeszcze jeden specjalista do chorób nerwowych, które tu najliczniej są reprezentowane.

W roku bieżącym liczba pacjentów, przeważnie płci bardzo nadobnej a niezbyt słabej, dochodzi do 300; możnaby się doskonale leczyć i bawić w tem towarzystwie, bo zabawa stanowi warunek bardzo poważny w Nałęczowie. Bale, reuniony, koncerty, teatru amatorskie udają się tu już tradycyjnie dobrze; czasem zepsuje harmonią jakiś ton gwałtem narzucający się na *dominante*, ale to nie trwa długo.

W koloniach kąpielowych powinna panować *respublica*; wszystkie monarchiczne aspiracye, do których głównie poważniejsze damy ze stolicy miewają specjalną żyłkę, wszelkie rządzenie się „szarych gęsi“ doprowadza zwykle do walki stronnictw i zaburzeń porządku i spokoju tak upragnionego w państwowych kuracuszów, zwłaszcza

nerwowych, używających borowinowych kąpiel, i wód żelazistych, i *abreibungów*.

Zatrzymałem się dłużej przy Nałęczowie, bo to Benjaminek naszych zdrojowisk i zakładów leczniczych i potrzebuje poparcia, które przywykliśmy określać jednym, wieloznaczącym wyrazem: reklama.

Bez reklamy, rozgłosu, bez trąby i fanfary u nas trudno zwrócić na siebie uwagę, zwłaszcza w początkach; później, gdy szczęście dopisze, nad zasługę nawet jest się sławnym, znanym, cenionym i przechwalanym.

Stosuje się to zarówno do ludzi, jak do rzeczy.

Największą reklamę robi sobie obecnie w ostatnich czasach... słońce; wszyscy się nim zajmują, wszyscy o niem piszą, czytają, mówią; ono jest primadonna nieba, bohaterem chwili, znakomitością dnia dzisiejszego. Wbrew zwyczajowi ludzkich gwiazd, które wtedy nabierają rozgłosu, gdy najjaśniej świecić zaczynają, słońce najgłośniejszym stanie się w chwili zaćmienia.

Będzie to rano, w piątek, między godziną piątą a szóstą. Dla śpiochów ciężka próba, ale chyba ciekawość obaczenia wspaniałego zjawiska natury zwycięży, i wstaniemy wszyscy tak wcześnie, choćby pierwszy i ostatni raz w życiu, aby się przypatrzeć tej słonecznej maskaradzie.

Pociągi dróg żelaznych do Wilna i do Mławy wywiozą tłumy przygodnych astronomów z Warszawy, zaopatrzonych w okopcone szkielecki i okulary Flammariona.

Rozumie się, że i wasz kronikarz puści się w podróż; ale gdzieś boczną drogą, na obserwacje mniej gromadne, aby wam potem zdać sprawę ze swoich osobistych wrażeń, jeżeli... co zobaczy; bo z temi zaćmieniami słońca to bywa jak z przedstawieniami w Łazienkach: ile razy je zapowiedzą, tyle razy deszcz, pochmurno, ślota, niepogoda i z wielkich zapowiedzi—nic w końcu.

Otóż obawiam się, czy nam chmury nie spleją i teraz takiego figla, czy nie zasłonią nieba, słońca i księżycy i nie wystrychną nas wszystkich na dudków, z zadartymi w górę głowami, przypatrujących się ciekawie temu, czego zupełnie nie widać.

Wielką-by nam krzywdę zrobił *Jupiter pluvius* i Danaidy, psując taką uroczystość niebieską; wyobrażam sobie fiziognomie wszystkich członków wypraw naukowych i kommissyi astronomicznych, które w rdzennym pasie księżycowego cienia studyować mają „koronę słoneczną”...

Ja sam, choć się na astronomii nie znam, a koron nie jestem ciekawy, miałbym humor zepsuty na cały tydzień, gdyby się nam zaćmienie nie udało.

W tym czasie jałowym taki brak silniejszych wrażeń, tak szaro, i nudno, i głupio na ziemi, tak mało prawdziwie wielkich zjawisk, że kiedy niebo wpisuje swój udział w wyczerpany już program ogórkowego sezonu, to człowiekowi na *spleen* zapadającemu ręce same do oklasku się składają: Bravo, słońce!...

Są ludzie zabobonni i przesadni, dla których piątkowe zaćmienie ma charakter groźnej wróżby; przed laty kilkudziesięciu przy podobnej sposobności przepowiadano sobie koniec świata, dysponowano się na śmierć, wyczekiwano okropnej jakiejś katastrofy.

Obecnie prasa nasza położyła niemałą zasługę, popularyzując naukowe poglądy na zjawisko niebieskie i objaśniając ciemne a wrażliwe umysły; wszystkie niemal pisma pomieściły odpowiednie artykuły i mapki z przystępną lekcją astronomii. Chyba ostatni tylko obskuranci trzymać się będą swoich uprzedzeń i przesądów i ze strachem spoglądać zpod oka na murzyna w świetlanej koronie, za jakiego zamaskuje się słońce, niby na widmo, zapowiadające tragiczny koniec świata.

Gdyby w ten sposób częściej prasa nasza popularyzowała naukę i nowe wynalazki, możebyśmy z czasem doszli do tego, aby w okolicy większych miast chłopci nie brali cyklistów za Antychrystów, a aeronautów za czarowników i współników samego Belzebuba.

Panu Spelteriniemu, który poprzedniej niedzieli znowu puszczał się balonem z p. Leoną Dare,

nasz poczciwi wieśniacy zabrali na pamiętkę sznury, postronki i żelazo od trapezu, podobnie, jak swego czasu p. Miłoszowi, gdy z aerostatem dostał się na ziemię z powietrznych szlaków.

Nazywa się to w pospolitym języku ludzi uczciwych grabieżą.

Wiele innych pojęć, nie między samym ludem nieoświeconym, ale i między intelligencją, potrzeba będzie jeszcze długo popularyzować, zanim się wyrobi poczucie obowiązkowych przymiotów, jakie dojrzałe społeczeństwo posiadać powinno, a wykorzeni wady, które mu szkodę i ujmę przynoszą.

Opieszalność i niesłowność np. zapuściły w nasz charakter korzenie bardzo głęboko.

Wspominałem ostatnim razem z radością o związaniu się spółki owocowej i zebraniu co prawda *minimum* kapitału zakładowego na drodze zbiorowych udziałów. Zdawało się, że sprawa skończona, potrzeba było tylko akt rejentalny sporządzić i podpisać przez uczestników przynajmniej szesnastu. Cóż powiecie? nie stawiał się w oznaczonym terminie u rejenta ani *jeden* spółnik; musiano spisać protokół i oznaczyć nowy termin na dzień 1-go Października, a jeżeli i tym razem nikt się nie stawi ośobiście lub przez pełnomocnika, to zarząd będzie zmuszony spółkę rozwiązać, kapitał zwrócić i cały projekt rozpadnie się bez śladu.

Mam tu i drugi kwiatek do zielnika naszych chwastów społecznych.

Czytacie i słyszycie, ile się pięknych frazesów pisze i mówi u nas na temat drobnego przemysłu; wszystko to brzmi przepięknie, wśród licznych wykrzykników, kropek i znaków zapytania na bibule.

Ale w praktyce?... w praktyce to tak wygląda: na tysiące kwestyonaryuszów rozesłanych przez delegacją Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w sprawie zebrania odpowiedniego materiału, nadesłano zaledwie 128 odpowiedzi, a i z tych połowa zaledwie zdobyła się na wystarczające objaśnienia.

Z czego tu było wysnuwać wnioski, wytwarzać projekta podniesienia i rozwoju drobnego przemysłu u nas, skoro na pierwszym kroku trzeba się było potknąć o trudności napozór tak łatwe przez nas samych do zwalczenia?

A co gorsza, ci sami, którzy kwestyonaryusz odebrany wrzucili do kosza, albo w kącie, przy okazji z wielkim ferworem glosić będą: „Po co nam takie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, skoro ono nic nie robi i żadnego pożytku nam nie przynosi!”

Niezrażona tem delegacja zrobiła jednak, co mogła: ze skąpych danych wygotowała referat godny zastosowania w praktyce, podała kilka praktycznych projektów, a między innymi, chcąc ułatwić w Warszawie zbyt wyrobów ludowych, porozumiała się z zarządem spożywczego stowarzyszenia „Merkury,” aby w siedmiu jego sklepach sprzedawano drobne włosciańskie wyroby, jak koszyki, ręczniki, nożyki, zabawki dziecięce, i t. p.

Dzienniki podały ogłoszenia, piśmiennie powiadomiono o tem wszystkie osoby, które kiedykolwiek okazały jakieś zajęcie się sprawami ludowymi i o, ironio!... skutek zabiegów był taki, że na sprzedaż w siedmiu sklepach „Merkurego,” nadesłano z prowincyi—aż trzy koszyki plecione w sposób arcy-pierwotny.

Na amerykański sposób wziął się jeden z „założonych magazynów” w Warszawie do robienia sobie reklamy i rozwoju swych interesów: oto ogłosił, iż za wiadomość o każdym zamożniejszym nieboszczyku płaci każdemu przygodnemu agentowi pensyją od rubla do 5 rs., a nadto zwraca mu koszt na tramway, byle tylko jaknajspieszniej mógł być uwiadomiony, *nb.* jeżeli z tej wiadomości odniesie jaką korzyść i ugodzi się o koszt urzędzenia pogrzebu.

Zaczynamy się wzorować na praktycznych Amerykanach.

Możeby i kwestyonaryusze rozmaitych towarzystw, redakcyi, komitetów, więcej przyniosły pożytku, gdyby korrespondentom płacono za nie honorarya i zwracano koszt podróży; ale na to,

niestety, najbogatsze społeczeństwa się jeszcze nie zdobyły.

Przepraszam — zdobyła się redakcyja *Gazety Świątecznej*, oznaczając nagrody za wiadomości nadesłane w sprawie: „Czem się lud żywi?”... przyrzekła je rozdawać w książkach.

Zobaczymy, oile ta obietnica poskutkuje.

Coś mi wszelako powiada, że karawaniarze swoim sposobem więcej zbiorą wiadomości, niż najzacniejszemi chęćiami i poświęceniem kierujące się kommissye i osoby prywatne.

Że też ja tak często moje gawędy muszę kończyć—na mogiłach!... Oto znowu o dwóch wspomnieć trzeba: w jednej spoczął nasz rodak, młody uczony, rokujący jaknajpiękniejsze nadzieje, znany i bardzo zdolny lingwista, s. p. *Jan Hanusz*; w drugiej sędziwy i zasłużony pisarz, kapłan, obywał, poeta a serdeczny i wytrwały nasz przyjaciel od pół wieku, s. p. ks. *Wach Sztulc*, kanonik i proboszcz na starożytnym Wyszehradzie w Pradze czeskiej.

Hanusz pochodził z Galicyi, liczył zaledwie lat trzydzieści, własną pracą przebiegał się przez życie, przez szkoły, przez świat, i kiedy dobił się rozgłosu, uznania u swoich i u obcych, kiedy dochodził do szczytów w rozkwicie sił i wieku, śmierć zastąpiła mu dalszą drogę. Przepracował się, dostał tyfusu i umarł w Paryżu.

Uczeń słynnego Miklosicza, uzyskał rychło docenturę w uniwersytecie wiedeńskim, gdzie wykładał naukę sanskrytu; przed skonem samym odbywał podróż po Włoszech i przybył do Paryża, by prowadzić studia lingwistyczne w bogatych księżnicach i zbiorach francuzkiej stolicy. Zaledwie rozpoczął pracę, skłonił ociężałą głowę i nie podniósł jej więcej!...

Literatura czeska poniosła bardzo dotkliwą stratę przez śmierć ks. Kanonika Sztulca. Znakomity publicysta, poeta, popularyzator, pisarz dla ludu, autor dzieł religijnych był wybitną postacią w swoim narodzie.

Z nami łączyły go serdeczne stosunki przyjaźni i sympaty; był nam wiernym i życzliwym od lat pięćdziesięciu kilku; czynem i słowem tego dowiódł. Jemu zawdzięczamy znakomite w swoim rodzaju przekłady Mickiewicza, Krasińskiego, Niemcewicza, Odyńca, Siemieńskiego i innych na język czeski; popularyzował naszych poetów w pobratymczej literaturze, rozumiał ich i duchem ich natchnień się przejmował.

Dla przybyszów polskich w Pradze nieboszczyk był najżyczliwszym gospodarzem i *ciceronem*; obie ręce podawał do uścisku bratniego, jak prawdziwy gorący przyjaciel, nie jak przezorny, wyrachowany polityk, który i prawicą i lewicą rozdaje uściski na wsze strony.

Cześć jego zacnej pamięci i pokój popiołom!..

Quis.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Minęło kilka tygodni od wypadków, które nawiązały ściślej węzły pomiędzy bohaterami naszej powieści.

„Miłość ma smutne oczy”—mówi jakaś włoska piosenka i nie myli się. Od czasu, gdy się wmieszła pomiędzy Romualda i panią Zofią, pomiędzy Ludwikę i Romualda, który ani przeczuwał, jak ważną był przyczyną rodzinnej rozterki w domu Fiszbbaumów, posmutnieli dziwnie wszyscy.

Drobny na pozór wypadek zmać odrazu harmonią pomiędzy Lackim a Odoniecką i wywołał nieporozumienie z powodu podstępu pana Sylweryusza, który systematycznie chował listy pisywane do syna i nie wspominał nawet o nich Romualdowi.

znia nas rozmaite kwestye, które potrzebują wyjaśnienia, a w obcym domu nie łatwa po temu sposobność.

— No, to najpierw pan Romuald z wujem się pojedna, a pan dobrodziej potem,—zgoda?...

Uśmiechała mu się myśl pośredniczenia w tem spotkaniu; obiecywał sobie wielkie korzyści z pomyslnego wyniku sprawy, co go w tak dobry humor wprowadziło, że gotów był w połowie przystać na małżeństwo Ludwika z Romualdem za samą nadzieję pozyskania przez ten związek spółnictwa z hrabią Andrzejem Potorskim.

Nie spostrzegł się nawet, że nadużywa dyskrecyi ojcowskiej, kiedy w dalszej rozmowie z Laskim, odezwał się do niego:

— Bo ta moja Ludwika ma dziwne zaufanie do Pana Romualda. Wie pan, ona więcej ufa jemu, niż mnie; on ma taki wpływ na kobiety, że... że...

— Że gotów zostać starym kawalerem—przerwał ze śmiechem pan Sylweryusz — to nie dobrze, kiedy młody człowiek w pannach zbyt wiele budzi zaufania. Księdzu to lepiej przystoi, ale kawalerowi do wzięcia—nie.

Fiszbaum przymrużył jedno oko i znacząco dorzucił:

— Niema obawy, już on jak zechce, to sobie żonę znajdzie. Pan dobrodziej wie, co chłopci powiadają: śmierć i żona od Boga przeznaczona.

Dalszy ciąg nastąpi.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Lipca 1887 r.

Zawierucha Boulangerowska — Wyjazd tego generała do Clermontu. — Demonstracja Ligi Patriotycznej. — Sceny na dworcu kolei żelaznej. — Wykradzenie. — Zaprzaczący polityczni. — Oportuniści. — Przemówienie ministra Spullera. — D. 14 Lipca święto narodowe i rewia — Rozdanie leżii honorowej. — Kawalerowie kobiety. — Inżynierowa i Siostra Miłosierdzia. — Śmierć p. Caro. — Kilka słów wspomnienia. — Wyrok śmierci na Pranziniego i dziwny skutek tej sprawy. — Skandale dziennikarskie, społeczne i literackie. — Odkrycie w „Figaro.” — P. Sellière w domu obłąkanych. — Zola i jego nowa powieść „Ziemia.”

(Dokończenie).

Rokwrok z okazji święta narodowego, (14 Lipca ma tu miejsce hojne rozdawnictwo czerwonej wstążeczki, za którą Francuzi przepadają, chociaż podzartowują niby z tej swojej słabości, która sobie równej nie ma na świecie całym...

Ile łokci tej wstążki rozdano w czasie tej kanikuly? Oto zadanie mogące poruszyć sumienia ministeryalne — i obudzić ciekawość głębokich statystów, aby się dowiedzieć, ile za łokciej tej wstążki można dostać wierności, miłości? — i ilu szczęśliwych może to uczynić?

Zagadnienie to wywołuje co pół roku na scenę uroczysty akt rozdawania błogosławionej wstążeczki, d. 1 Stycznia i d. 14 Lipca. O terminie tej spierają się tu publicyści: jedni dowodzą, że jeszcze zamało wstążek, drudzy, że zawięle; a zwykle jedni i drudzy należą do rzędu tych, których nie zaliczono do szczęśliwych wybrańców!...

W tym zastępie dokorowanych kobiety zajmują najskromniejsze miejsca. Słusznie, czy nie słusznie? w to ja nie wchodzę, zaznaczam tylko fakt. Dawniej, było to prawie bezprzykładne, dziś już zaczyna wchodzić w obyczaj. W tej chwili jest przecież kilka dekorowanych kobiet. Naprzód według starszeństwa, Róża Bonheur, znakomita malarka, ta za zawdzięcza swój krzyż i wstążkę Cesarzowej Eugenii. Pani ta, rozmiłowana słusznie w pięknym talencie artystki, otrzymała dla niej od cesarza tę narodową dekorację. Następuje poniej panna Dodu; ta w czasie ostatniej wojny, służąc w departamencie poczt i telegrafów, z narażeniem własnego życia ocaliła ważne wojenne depesze i udekorowaną została krzyżem wojennym, to jest takim, do którego przywiązana jest pewna pensja. Trzecia z porządku jest to ko-

bieta, która całe swe życie poświęciła wychowaniu dziewcząt klasy robotczej, a znaczny majątek ulepszeniom zakładów naukowych dla kobiet; żałuję, że nazwisko jej przemilczeć muszę. W przeszłym półroczu gazeta urzędowa zapisała wśród szczęśliwych wybranych nazwisko pani Dieulafoi, żony inżyniera, który odkrył bardzo ciekawe staroperskie zabytki w Suzyanie, z narażeniem życia, z powodu okropnego klimatu, i gdzie przytomność młodej kobiety, mogła być bardziej przeszkodą, niżeli rzeczywistą pomocą. Jakkolwiek bądź pani Dieulafoi wyszła obronną ręką, a krzyż dostała, bo... potrzebaby szeroko o tem rozprawiać. Ale następna okoliczność daje dokładny rys charakteru i usposobień tej pani... Przyjaciele męża, wszystko członkowie uniwersytetu lub akademii, postanowili dać na cześć nowej dygnitarki obiad, jak tu mówią bankiet. I jakież było zdziwienie, tych osiwiiałych erudyków, kiedy solenizantka zjawiała się w czarnym fraku i w opiętych „niewysłowionych.” Ta maskarada zdała się tembardziej wstrętną, że pani Dieulafoi, dość dobrej tuzszy i nieprzywykła do tego stroju, wyglądała prawdziwie dziwnie i śmiesznie. Kłopot był wielki w uczonej zebraniu, bo nie wiedziano, jak to przyjąć: czy jako żart, czy jako poważny postępek? Odkrywa to dość jasnie, jakie to muszą być stosunki domu, gdzie pani inżynierowa musiała swą spódnicę oddać mężowi.

Ostatnią na tej liście do wczoraj, była pani Hoene-Furtado, żona bankiera, która olbrzymimi darami uposażyła zakłady dobroczynności i wychowania dla ludu w Paryżu. Wszystkie te krzyże są dosyć usprawiedliwione zasługą lub talentem i nie mam potrzeby, szukać nowych dowodów, że ta innowacya w rozdawnictwie legii jest rzeczą chwalebłą. Ale jeśli jest krzyż, który zawieszono na godnej i dzielnej piersi kobiecej — to ten, który oficjalny dziennik pod dniem 19 Lipca zapisał w swoich szpaltach w tych słowach: „Do stopnia kawalera legii honorowej mianowaną została pani Magdalena Berthon (w zakonie siostra Filomena), siostra miłosierdzia i chrześcijańskiej nauki w Nevers; od lat trzydziestu czterech sprawująca obowiązek posługi chorym w wojskowym szpitalu w Troyes.” Podając tę wiadomość, nie śmiem osłabiać wrażenia tych prostych a tak wymownych słów urzędowej gazety, komentarzami, które nie wyrównają nigdy i w niczem, ani skromności i cichej cnocie, ani anielskiemu poświęceniu siostry Filomeny! Jest to przykład tak czysty, tak jasny, spełnionego po chrześcijańsku obowiązku, że pozostaje nam tylko uchylić głowy.

Ale dosyć o krzyżach, każdy tu ma swój do noszenia, jeśli nie ten, co rozwesela samotną dotąd pętlę, to ów, który mu los włożył na bary, albo ten, który mu zatknął na mogile. Ten ostatni przypomina, żeśmy stracili jednego z luminarzy wiedzy: pana Caro. Była to osobistość wybitna, a w ostatnich latach często i mnie samemu przychodziło mówić wam o nim, jako o człowieku i o uczonym, którego imię zapełniało często kronikę paryżką. Pamiętne są zapewne czytelnikom moim owe lekcye, na których professor Caro widział cały amfiteatr Sorbony, wypełniony słuchaczami, gdzie najświetniejsze, najarystokratyczniejsze imiona Francji przeważnie zajmowały miejsce, reprezentowane przez samą płeć piękną. Jakimi oklaskami, jakim szmerem wzruszenia przyjmowały professora — jego wierne słuchaczki, długo o tem będą wspominać milczące dziś echa starej Sorbony! A jeśli dodamy, że zawdzięczał on to jedynie talentowi jasnego wykładu i najczystszej wymowie francuzkiej, do której wdzięku nie przyczyniała się wcale, ani młodość, ani wdzięk powierzchowności, zrozumiemy całą zasługę i całą stratę zmarłego, jako popularyzatora wiedzy.

Caro urodził się w r. 1826. Nie była to więc potęga młodości i zapалу, która mu jednała takie fawory niewieście, ani też piękność, albo szczególne dystynkcyjne postaci lub twarzy. Caro w chwili największego powodzenia miał już przeszło lat pięćdziesiąt, średniego wzrostu; nie miał nic, coby go odznaczało szczególnie w twarzy, o rysach zwyczajnych, nic w oczach, które patrzyły bystro, ale się nie wyróżniały od innych,

ani barwą, ani osadą; siwe włosy krótko strzyżone i bokobardy rozczesane ku uszom, jeszcze mocniej akcentowały, jeżeli nie powszedniość, to pewną przeciętność postaci professorskiej. Nosił on, nie starając się ani jej zrzucić z siebie, ani jej podrobić, niestartą cechę swego pochodzenia. Syn profesora uczonego, pozostał tem, czem wyszedł z domu rodzicielskiego: człowiekiem pracy i nauki, a jeśli oczarowany jego rozumem i wymową, świat wielki przyjął go, jak swego, nie odebrał mu przecież rodowej cechy i Caro został tem, czem był od kolebki: dzieckiem rodu, gdzie własnymi rękami budowano dom swej fortuny.

Mówca łatwy, jasny, często namiętny, Caro był przytem bardzo pracowitym. Lekcye jego wydawały się improwizowanymi; bo chociaż był zawsze przygotowany, i to potężnie, nie mając przed sobą ani notatek żadnych, ani sexternów, ani książek, wyglądał, jakby mówił *ex abrupto* — i to nadawało niezmierny wdzięk tym lekcjom, które umiał zaprawić subtelną nieraz ironią, kiedy chodziło o ocenę przeciwnych mu doktryn.

Idealista, a w chwilach natchnienia nawet poeta, był do pewnego stopnia fenomenem w czasach, w których żyjemy, umiał ożywić i jakby odmłodzić starą i jałową naukę filozofii. Zręcznie i zawsze w porę umiał przytoczyć dowcipną anegdotę, albo z powodu jakiegoś metafizycznego przypuszczenia, uczynić bystry rozbiór nowej i wziętej powieści.

Zostawił niemało dzieł po sobie; to, które daje najlepsze wyobrażenie o jego talencie i o metodzie jego nauki, są to: „Studia etyczne nad naszymi czasami” (*Etudes morales sur le temps present*).

Nie czas jeszcze oceniać we wszystkich względach jego talent, tak pełen rozmaitości, tak popularny i sympatyczny. Caro zgasł przedwcześnie, — dla mnie, który kilkanaście dni przedtem spędziłem z nim cały poranek, w domu wspólnych nam przyjaciół, śmierć jego była jakby uderzeniem gromu. Zmęczony pracą, i może zbyt niemi oddawaniem się towarzystwu ludzi wykształconych, oraz salonów, które lubił i które jego lubiły, był on już zmieniony i cierpiący od roku. Lekarze uważali go, jako dotkniętego chorobą serca; tymczasem umarł i to prawie nagle, na chorobę nerek. Mówiłem, że światowe przyjemności wpłynęły wiele, praca uporna dokończyła reszty. Caro spotykał się wszędzie z przyjęciem najpochlebniejszym; wydzierano go sobie. Czy te powodzenia miały trwałość i wypróbowaną wierność, jakiej pragnął? Wątpię, widziałem to nieraz na własne oczy. I czyż mogło być inaczej? Wszak żył i obracał się wśród współzawodników: doznał więc przykrości i zawodów światowych, te musiały go nieraz dotykać głęboko, były bowiem niesprawiedliwe i niewdzięczne. Przebył w życiu ciężkie chwile, powtarzał często „że w każdym czasie można być sierotą”, a jedną z ran głębokich serca była utrata już dorosłej córki, córki jedynaczki. W ostatniej chwili, na minutę przed śmiercią, mówił do żony: „Czuję coś dziwnego w sobie, byłaby to śmierć?” A na słowa uspakajającej żony odpowiedział głęboko wzruszony: „Przebac mi, jeśliś ci w czem zawinił!” Z temi słowy skonał.

Poznał Caro, co to są zdradzieckie, nieraz śmierć przynoszące, sidła popularności, która ci nigdy nie odplaca należycie za to, co ci bierze z twej swobody, z twojego spokoju, z twej pracy, z twej prawdziwie i zasłużonej wartości. Poznał popularność i mógł sobie powiedzieć, że zbliżając się coraz starością: *Omnes vulnerant, ultima necat.* (Wszystkie ranią, ostatnia zabija).

A ten wielki świat — co to za straszna i bezdenna otchłań! Spokój owego tutejszego świata zmąciła dziwna awantura. Pamiętacie o morderstwie straszliwym dokonanem tu przy ulicy Montaigne. W Marcu zdałem sprawę czytelnikom moim z zabójstwa; dziś sąd przysięgły potępił na śmierć obwinionego o tę zbrodnię, niejakiego Pranziniego. Obwiniony i jego adwokat starali się znaleźć niewinność w dowodzie, że oskarżony, spędziwszy tę noc straszłą w towarzystwie innej kobiety, nie mógł być sprawcą morderstwa. Tę kobietę wskazał najpierw Pranzini w niejaka-

kiej Sabatier, ale gdy ta zadała mu wierutne kłamstwo w tym względzie przed sądem, Pranzini i jego obrońca zwrócili się w inną stronę, utrzymując tą razą, że pewna wielka dama udzieliła mu tej gościnności, ale że tej damy kompromitować nie chce, więc nazwisko jej milczeniem pokrywa.

Zrozumieli wszyscy, że to jest nowe i wierutne kłamstwo, wszyscy oprócz niezliczonego klanu plotkarzy, których masz tu na bruku, jak gwiazd na niebie: porwano więc tę nowinkę i pod tą zagadką zaczęto podpisywać własne imiona, największych dam świata tutejszego. Miała to być pani T., niedawno rozwiedziona z mężem, w sposób dosyć skandaliczny. Następnie cytowano księżniczkę S... Naraz *Figaro* występuje na scenę i oświadcza *urbi et orbi*, że szesnastu dziennikarzy, ni mniej ni więcej, zawiązawszy stowarzyszenie wzajemnej pomocy, posłali listy gończe do owych to pań, de T... i de S... zapowiadając każdej z nich, że jeżeli nie otrzymają nagrody zastosowanej do ważności tej sprawy, będą zmuszeni ogłosić publicznie ich nazwiska ze szczegółami wypadku, czy upadku... *Figaro*, surowy katon w tej mierze, żąda niezwłocznej, co najmniej, banicyi tych 16-tu dziennikarzy i deklaracyi całej prasy, że się wyrzeka z nimi wszelkiego stosunku. Możecie wyobrazić sobie państwo, jakim to dobrodziejstwem, dla tych dwóch pań T. i S., jest ta deklaracya, i z jaką wściekłością cały dziś Paryż stara się uchylić zasłonę tych dwóch liter tajemniczych...

Skandal tak tu popłaca, że ludzie najuczciwsi niby żyć bez niego nie mogą. Niedawno, ale zawsze jeszcze w Lipcu, mieliśmy tu awanturę pana Sellière. Ci Sellierowie—jest to dom bankierski,—i jeden z pierwszorzędných po Rothschildach, póki szczególnie żył ojciec, głowa tego zakładu—po śmierci zaś ojca, zostali dwaj synowie i córka, zamężna za księciem Żegańskim (Sagan).

Jeden z dwóch braci, starszy, Henryk na imię, wdał się w różne przedsięwzięcia i operacje handlowe, na które w krótkim czasie przeszastał z dziesięć — jak mówią — milionów. Ta rozrzutność miała zastraszyc rodzinę, a jak powiadają niby dobrze poinformowani, zastraszyło rodzinę szczególnie to, że ten Sellière ożenił się z panną Orzechowską, Polką, ale urodzoną w Ameryce i z Amerykanki, i że jego dzieci z cudzoziemki — jest ich dwoje — staną się spadkobiercami, bo drugi brat jest bezdzietny. Otóż, dowiedzieliśmy się jednego pięknego poranku, że Henryk Sellière zwaryował i że go wsadzono do czubków w zakładzie doktora Falveta.

Rzecz okazała się prawdziwą. Narobiło to ogromnego hałasu; oskarżano o zamach siostrę i brata — siostrę szczególnie, bo do niej stosuje się zasada: *is fecit cui prodest*. Zarzucano, że H. Sellière jest zdrow na ciele i umyśle. Rozpoczęła się kwerenda, wnieśli się prokuratora — słowem: kilka dni temu wypuszczono Sellière'a na wolność, z czego ten korzystając, bez zatrzymania się gdziekolwiek, natychmiast do Ameryki wyjechał! Tu można położyć ogromny znak zapytania: na co? bo żona z dwojgiem dzieci została w Paryżu.

Aby dopełnić miary wypadków skandalicznych, mamy literaturę, która jest odzwierciedleniem społeczności — jak to opiewa główna zasada krytycznych arbitrow. „Dajcie mi dobrze urządzone finanse — mówił Baron Louis za Ludwika Filipa — a ja wam stworzę doskonałą politykę.“ Można, tozdaje się, zastosować do literatury i powiedzieć: „Dajcie mi poczciwą społeczność, a ja wam stworzę poważną literaturę...“ Trudno jest wśród zepsucia powszechnego obyczajów udawać Katona — i pisać powieści moralne tam, gdzie ich nikt w rękę nie weźmie. Zapewne, są ludzie z tak twardym i nieugiętym charakterem, że jakkolwiek bądź, gotowi są płynąć przeciw wszelkiemu prądowi, i chociażby głos ich miał być głosem wołającego na puszczy. Szermują ostrym piórem, karzą obyczaje, zdrożności; a dzieła ich, chociaż nie czytane przez współczesnych, przechodzą do potomności i świadczą, do jakiej wysokości w owej epoce podniosły się brudne i mętne wody społeczeństwa.

P. Zola nie należy do rzędu tych ludzi, surowych, ale sprawiedliwych; nie rzuca on prądu, który go unosi; jak rak, zdaje się że umyślnie wybiera sobie legowisko, gdzie brudniejsza woda. Maluje niezawodnie rzeczy, które widział i które istnieją; ale to nie dowodzi wcale, aby to były rzeczy, które wszyscy widzieli, i których pokazywanie tym, którzy ich nie znają, może mieć użyteczność jaką...

Dajmy na to, że przechodząc ulicą, widzę jakiegoś biednego kalekę, — który, drugi Hijob na swoim barłogu, — przewija swe rany; mogę w takim razie, jako lekarz, dotknięty widokiem tej nędzy, przynieść mu pomoc moją, opatrzeć, przewinać te rany, i bez obrzydzenia przynieść mu ratunek i ulgę; albo, jako filantrop, przyjść mu z pomocą zasiłku i rady, dając mu spora jałmużnę, lub odnosząc go do szpitala. Ale poza temi dwoma objawami specjalnej natury, nikomu nie przyjdzie do głowy wyszukiwać takiego biedaka koniecznie, na to tylko, aby odwinąć plugawę szmaty okrywające jątrzące się rany, i aby z zamilowaniem wierutnego maniaka, rozpatrywać i sądować te obrzydliwe rany bez żadnego innego celu, oprócz zaspokojenia głupiej ciekawości i doskonałego a dokładnego opisanie wszystkich szczegółów tej operacyi.

Otóż p. Zola zupełnie tak sobie poczyną w tej powieści, którą ogłasza w tej chwili w odcinku dziennika *Gaulois* pod pretensjonalnym, aż do znudzenia, tytułem: „Ziemia“ (*La Terre*). Miało to być studjum tej matki naszej powszechnej — i tych, którzy w pocie czoła żyją z niej i na niej, w najprostszym i najściślejszym stosunku: a więc ziemia — chłopi, wieśniacy, kmiecie, jak się podobą. Poprzedził go już na tem polu i tu we Francyi — nie mówiąc już o innych krajach — jego mistrz Balzac; ale Balzac panu Zoli wydaje się zbyt poetycznym; on, Zola, chce być, realnym, praktycznym „naukowym!“ a więc wchodzi w takie szczegóły z życia i bytu ludzi i zwierząt, od których ręce człowiekowi opadają poprostu, — w ostatnim rozdziale owego odcinka. Są tam „Georgiki“ takiego naturalizmu — o cieleniu się krów i amorach wiejskich, — że tylko *furia francese* może to pisać i czytać bezkarnie. Zola doszedł sam własne „cochonneries“ — jak sam powiada. — Żaden chyba tłumacz, na nasz czy na obcy język, nie potrafi tego przelać do swego cebra!...

KRZYŻ PRZY DRODZE.

Przez

Maxa Nordau'a.

(Ze zbioru p. t. „Seifenblasen“)

Mieszkałem w Peszcie — dawno już temu.

Dzień w dzień parę razy przechodzić musiałem przez ulicę Tytuniową. Przy zbiegu jej z ulicą Krzyżową, stał krzyż; był już spróchniały, zapadał w ziemię. Łatwiej takie krzyże spotkać można na gościńcu, w biednej wiosce, niż w mieście; ale bo też i Peszt ówczesny nie był dzisiejszem wielkiem miastem. Krzyż starością swoją sięgał może początków tej dzielnicy, pośród której się wznosił; ulica Krzyżowa w każdym razie od niego wzięła swą nazwę.

Półtora wieku temu, gdy ludności śródmieścia było już za ciasno, kilku śmiałych osadników za murem miejskim, na wydmach piaszczystych zwanych Kakosza, pobudowało pierwsze domy. Wtedy założyciele Terezyensztadu wzniesli i ów krzyż, zapewne, by nową dzielnicę oddać pod szczególniejszą opiekę Ukrzyżowanego.

Naiwna bogobojność owych ludzi nie potrzebowała żadnej zewnętrznej pomocy, jaką dają dzieła sztuki. Uczucie ich religijne nie wymagało pięknej i pomnikowej formy dla przedmiotu czci: było ono dość szczerem, głębokiem, ażeby nawet na źle wymalowanym świętym obrazie, na bezkształtnym drewnianym krzyżu, poprzestać.

Nasz krzyż przydrożny świadczył właśnie o takiej wzruszającej sile wiary, która nawet niezdarne symbole i widome znaki rzeczy niewidzialnych blaskiem piękna i świętości opromieniować umie. Nielatwo wyobrazić sobie coś mniej pociągającego oko nad ten wielki krucyfiks. Dwie ociosane zgrubsza belki, złożone w krzyż i żelazna blacha na nim przybita, która prawdopodobnie przycięta tylko była podług ogólnego zarysu postaci ludzkiej: oto wszystko. Ręka Beoty, który był niewątpliwie bardzo pobożnym, lecz nic nie wiedział o poważnym pięknie barwy ciemnego od starości drzewa dębowego, pociągnęła krzyż najnieprzyjemniejszą barwą ceglastej czerwoności, na przykrojonej zaś do kształtów ludzkich blasze wymalowany wizerunek Zbawiciela, przekonywał o ogromnych dobrych chęciach, ale i o niezmiernie małej umiejętności jakiegos domorosłego artysty.

Sto pięćdziesiąt lat nie mija bez śladu na tak pierwotnym dziele sztuk. Z blachy żelaznej, którą rdza na pół przegryzła, farba w wielu miejscach poodpadała; wizerunkowi Odkupiciela brakowało oka, z cierniowej korony niewiele już było widać, na nogach zwłaszcza srożyło się wielkie już zniszczenie. Oblicze i pierś upstrzyły rdzawe plamy, sprawiając wrażenie kropel krwi niezupełnie otartych. O takim wrażeniu mistrz twórca pewno ani marzył. Drzewo również nie uchroniło się przed zębem czasu; niepoliczone szramy i rysy przeciągały przez całą długość słupa. Można było łatwo przewidzieć, że gdy nastaną uporzeczywe deszcze jesienne, a po nich znowu skwar letni, wysuszający wszystko, i burza wstrząsająca ziemię w posadach, niedługo już opierać się im będzie mogła niespożyta wytrwałość dębów — prastara dębów hardość.

Kiedym raz późną, cichą godziną nocną szedł przez wyludnioną ulicę z krzyżem — usłyszałem w środku jego wyraźnie jednostajne miarowe kucie robaków, którego ostre szczęki w zawody ze zgnilizną nad spustoszeniem krzyża pracowały.

Opis ten zapewne każdego przekonał, że krzyż bynajmniej nie szczególnego i uwagi godnego na sobie nie miał. Pomimo to widok jego za każdym razem wprawiał mnie w zamyslenie, obudzał nawet we mnie jakieś rzewne uczucie. Biedny krzyż! Jakże też opuszczony od Boga i świata! Nikt się nie modli przed nim, nikt mu nie składa ślubów, całemu światu stoi na drodze. Pokolenie, które go tu postawiło i następne po niem, te wszystkie, w których rozrzązał pobożność, oddawna wymarły; dziś, w tych czasach, w tem otoczeniu, obcym już był, jakby na stracenie skazanym. Przechodnie mijali go, nie uznając, by zastrzegali na jedno choćby spojrzenie. W czasie słoty zwracał wprawdzie niejaką uwagę na siebie, ale uwaga ta najzupełniej była świecka, a to z tego powodu, że ponieważ wprost, zpośród wązkiego chodnika wyrastał, przeto nie można było z rozpiętym parasolem przecisnąć się między krzyżem a murem; pozostawało więc tylko do wyboru: albo parasol zwinąć i parę kroków iść pod spływającą rynną dachu, albo, nie zamykając parasola, zejść z chodnika, to znaczy, parę kroków przez błoto na stopę głębokie, brodzić. Jedno, jak drugie ściągало szemranie przechodniów, iż zwierchność taką przeszkodę w ruchu wciąż jeszcze cierpi...

Krzyż do przeskody w ruchu zdegradowany! Nie miał-że znamienia świętości wobec ludu postadać? Nikt nie uchylił kapelusza, nikt nie przeżegnał się w przechodzie. Tylko prości wieśniacy zwykli jeszcze niekiedy nabożnie przed nim klękać i jego podnoże całować, a ptaki używały go za pożądane miejsce spoczynku. Jaskółka, która też dla swoich, w gniazdeczku świegocących młodych, żywności szukała i w skrzętnem wypełnianiu swej macierzyńskiej powinności znużyła się, siadała dla chwilowego wytchnienia na rozciągniętych ramionach Zbawiciela. A prócz jaskółki w górze, u stóp krzyża także niekiedy kulila się stara żebraczka...

Nagle stało się coś ważnego. Dom narożny tuż przy krzyżu, zaczęto burzyć. Był czas już na to wielki. To głęboko już w ziemię zapadłe domowstwo, z rosypanych się od wilgoci cegieł, z odartym, bez okien bokiem od strony ulicy, ze spróchniałym, omszonym dachem gontowym i

rem wysypanego podwórza, z którego szerokie schody prowadzą do westibulu zwanego *pendopo*. Jest to rodzaj werendy z trzech stron zupełnie odkrytej a wyłożonej marmurem; tutaj przepędzają mieszkańcy wszystkie chłodniejsze godziny dnia i tu również przyjmują gości. Z przeciwnej strony domu znajduje się podobna werenda, na której przyjmują posilek i spędzają czas wolny od zajęcia. Wnętrze domu obejmuje pokoje sypialne, gościnne, pracownię, kuchnię i t. p. Stajnie i wozownie mieszczą się w innej budowli, — połączonej z domem za pośrednictwem dachu.

Jeżeli przejść przez ulicę w porze obiadowej, to domy wyglądają, jakby ich mieszkańcy powymierali; gdzieś tam tylko można spostrzedz drżącego służącego na frontowej werendzie, cała rodzina zaś znajduje się na tylnej. Jeżeli zwiędzić tę samą ulicę wieczorem, wtedy przedstawia się zupełnie odmienny obraz, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zmieniony. Domy kąpią się w strugach światła, lampiony wszędzie pozapalane, przy ich blasku dostrzedz można panów i panie, — oni najczęściej zupełnie białe odziani, czasami tylko w czarnych surdutach, one w eleganckich jasnych toaletach. Prawie wszyscy w wygodnych biegunowych fotelach bujają się rozkosznie, gdy tymczasem środek ulicy przepelniony jest wielką ilością ekwipaży jadących w jedną i drugą stronę.

Posiadanie ekwipażu nie należy tu do wyjątkowych rzeczy. Zamożniejsi posiadają ten nie zbędny, z powodu rozległości miasta i upałów, zbytkowy w Europie, przyrząd lokomocyjny; prócz powozu trzyma się tu i konia wierzchowego, a także zwyczajem jest chować inne zwierzęta, jak małpy, sarny, pawie, papugi, a nawet węże niejadliwe. Przed niedawnym czasem będąc na wizycie, nagle poczułam, jak młody tygrys królewski na przywitanie liże mnie po ręce.

Dzień przepędzamy, podobnie, jak wszyscy Europejczycy, w następujący sposób: ze wschodem słońca, który na Jawie, z małymi różnicami, następuje o godzinie szóstej, tak jak i zachód, wstajemy z łóżek i leżąc na wygodnych kanapach pijemy po filiżance tej wyborowej kawy, którą nasza wyspa tak obficie wydaje. Następnie odbywamy *dolce farniente*, w czasie którego pan domu rozkoszuje się dymem przepysznych cygara. Trwa to około godziny, poczem bierzemy kąpiel, do której stosowne urządzenie znajduje się w każdym domu, przyczem poddaje się swą skórę kilkanaście razy prądowi zimnej wody. Na tych trudach schodzi czas do ósmej. Obowiązek wzywa męża mego do biura: zrzuca przeto pan mój lekkie i wygodne ubranie, składające się z pantalionów, (tjelana) i białej kurtki (kabaya) i zjawia się, w zupełnie białym, lecz po europejsku strojnem ubraniu. Pijemy śniadanie składa się ono z herbaty i czekolady, z zimnego mięsa, masła, sera, jaj, owoców i galarety.

Spożywszy tak obfity posilek, maż wsiada do powozu, który go na dłuższy lub krótszy czas wiezie do zajęcia. Przyjełam, zarówno jak wszystkie osiedlone tu mieszkanki Europy, pod względem ubrania tutejsze zwyczaje, i skutkiem tego strój mój poranny składa się z *Sarong* i *Kabaya*; pierwszy jest jaskrawą, złotem i srebrem haftowaną chustką, którą kilkakrotnie owinąwszy biodra, spada aż na nogi i trzyma się zapomocą szarf; kabaya zaś, jest to rodzaj długiego i szerokiego kaftana, koloru białego; zdobią ją drogie hafty lub koronki. Na nogach noszę małe, złotem haftowane pantofelki, które za ledwie palce przykrywają. Tak wystrojona, podczas nieobecności meża zajmuję się gospodarstwem domowem.

Zajęcie to jednakże różni się znacznie od te-

go, jakie mają kobiety w Europie; jest ono tutaj bowiem bardzo ograniczone, co zresztą zależy od klimatycznych i socjalnych warunków, tak, że praca redukuje się jedynie do nadzoru nad domem, do kontroli, która tu jest niezbędna, gdyż słudzy jawańscy, jak i wogóle malajscy, kradną jak kruki, chociaż co do mnie, jeszcze w tym względzie smutnemu doświadczeniu nie podległam. Ponieważ służba dostaje tu, prócz dosyć wysokiego wynagrodzenia pieniężnego, jedynie pewną ilość ryżu, resztę zaś pożywienia obowiązani są sami sobie kupować: ztąd też starają się, oile możności, jaknajwięcej przyrządzać dla państwa pożywienia, aby się i im coś okroiło. Dla tego gotują zwykle owiele więcej, niż byśmy sami spożyć mogli, a skutkiem bezustannego upału, nawet w lodzie zakonserwować nie można.

A oto personel służbowy. Nasamprzód kucharka, w której rękach nasze zdrowie i zadowolenie spoczywa. Co wieczór wydają jej rozkazy i *menu* na następny dzień, oraz niezbędne materiały i przyprawy do sporządzania pokarmów. Posiada ona, do pomocy dwóch kuchcików, którzy czynność swą jako ochotnicy, jedynie za pożywienie wykonywają. Oto moja Lijwmeid (przyboczna) Nini służy mi przy kąpieniu się przyczem pomaga mi także ubierać się i rozbierać. Jako mieszkanka Jawy, ubrana jest zawsze w Sarong i Kabayę, skutkiem tego wszelkiego rodzaju haftki, guziki, brykle i t. p., są jej zupełnie nieznanymi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI Z HYGIENY.

O pielęgnowaniu zębów.

Przy dzisiejszym stanie nauki można twierdzić, że każdy w dobrze utrzymywanych zębach posiadać może skarb zdrowia, jeżeli trzymać się będzie następujących zasad.

Przedewszystkiem należy się zapoznać z budową zębów i dowiedzieć się co dla nich jest szkodliwym; dalej powinien każdy od najmłodszych lat starannie pielęgnować te organa, i wreszcie, przy najlżejszym ich cierpieniu nie żałować kosztów na zręcznego i wykształconego dentystę. Trzymając się tego przepisu nie trudno jest zachować zdrowe i piękne zęby do późnej starości.

Dla wypełnienia jednakże powyższego potrzeba-by wyplenić wiele bardzo zwyczajów i nawyków, które się wkorzeniły, a które bardzo ujemnie oddziałują na zdrowie pod bardzo wielu względami.

Piękne zęby nie są jedynie ozdobą; są one także niezbędnym warunkiem zdrowia, służą bowiem do rozdrabniania i rozmiękczenia pokarmów stałych; bez czego doznajemy po jedzeniu odęcia, gniecienia i odbijania, także bólu głowy, i z czasem powodują cierpienie znane pod nazwą kataru chronicznego żołądka, cierpienie nadzwyczaj nieprzyjemne, trudno dające się wyleczyć i podkopujące organizm.

Co się tyczy budowy i odżywiania zębów, to dla czytelniczek, „Bluszczu“ uważam za niezbędne następujące wiadomości, które zarazem wyjaśnią sposoby pielęgnowania tych organów.

Zęby składają się z *istoty zębowej*, podobnej do kości, złożonej z części mineralnych, i z *substancji spajającej*. Części mineralne, złożone przeważnie z fosforanu wapna, nadają zębom właśnie ich

twardą konsystencją. Fosforan wapna, jako sól, pod wpływem kwasów ulega rozkładowi, rozpuszcza się w nich; jeżeli np. kawałek substancji zębowej zanurzyć na pewien czas w rozcieńczonym kwasie solnym, wtedy sole w niej znajdujące rozpuszczają się wytwarzając rodzaj galarety. Jeżeli zaś substancją zębową poddawać paleniu, to wtedy, przeciwnie, spalą się substancje spajające, a części mineralne t. j. sole, pozostaną nie naruszone.

Odróżniamy w zębie dwie części: *korzeń* i *koronę*; ostatnia stanowi część widoczną zęba, gdy korzeń zagłębionym jest w szczękę (*alveola*). Część nieco zwężona zęba między koroną i korzeniem nazywa się *szyją* zęba; w tem miejscu otacza go działko w rodzaju kołnierza i silnie do niego jest przytwierdzone.

Korona otoczona jest nadzwyczaj silną powłoką, zwaną *szkliwem* (*email*), która, prócz części mineralnych, zawiera w sobie substancji organicznych bardzo nieznaczna ilość, t. j. wszystkiego 2%, gdy substancja zębowa zawiera ich w sobie około 30%. Skutkiem tego jest szkliwie nadzwyczaj twardem, ale jednocześnie bardzo krucho. Korzeń jest również pokryty cienką powłoką, zwaną *cementem*, prócz tego całkowicie osłonięty jest okostną, utrzymującą ząb w szczękę.

Ząb nie jest w całej swej massie jednostajnie zbudowanym (*massiv*), posiada bowiem *jamę zębową*, która kończy się przy końcu korzenia małym otworkiem. Przez otwór ten wstępują do zęba gałązki naczyń krwionośnych i nerwy nadzwyczaj cienkie, rozchodzące się od grubszych gałęzi, a które wraz ze znajdującą się tam tkanką łączną tworzą *miazgę zębową* (*pulpa*).

Ząb otrzymuje zapomocą naczyń krwionośnych materiał odżywczy, niezbędny do życia, nie tylko dla zęba rosnącego, ale także i dla takiego, który zupełnie już wyrósł, i w dalszym ciągu istnienia swego stanowi organ żyjący, tak samo, jak inne organa w ustroju człowieka. Nerw zaś jest regulatorem w dostarczaniu tego pożywienia; że rola jego jest ważną, a nawet niezbędną, dowodzi to, iż z chwilą, gdy nerw został zniszczonym skutkiem stanu chorobliwego, lub też sztucznie przecięty, ząb cały nie może dłużej się utrzymać i podlega rozpadowi.

Odróżniamy zęby *mleczne* i *stałe*; zarodki tych ostatnich znajdują się pod korzeniami zębów mlecznych i gdy właściwy czas nadchodzi (zwykle między 7—8 rokiem życia), poczynają wyrastać ku górze. Przez nacisk, jaki skutkiem tego wywierają na korzenie zębów mlecznych, te stopniowo zanikają i ostatecznie zęby mleczne ustępują miejsca stałym.

Tutaj wypada nam nadmienić, że spróchniałych zębów mlecznych nie należy wrywać, lecz plombować, i to nie złotą plombą, lecz mieszaniną metaliczną; wyjątek zachodzi tylko wtedy, jeżeli znajdujące się pod spodem zęby stałe wyrastają krzywo; wtedy przez usunięcie zęba mlecznego można nadać właściwy kierunek rośnięcia zębowi stałemu.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabusson.

TREŚĆ: Pogawędka. — Filistry, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Krzyż przy drodze, przez Maxa Nordana. — Podróże, List Antoniny Harf z Indji Wschodnich. — Wiadomości z higieny, przez D. J. S.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — 19 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozytę stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

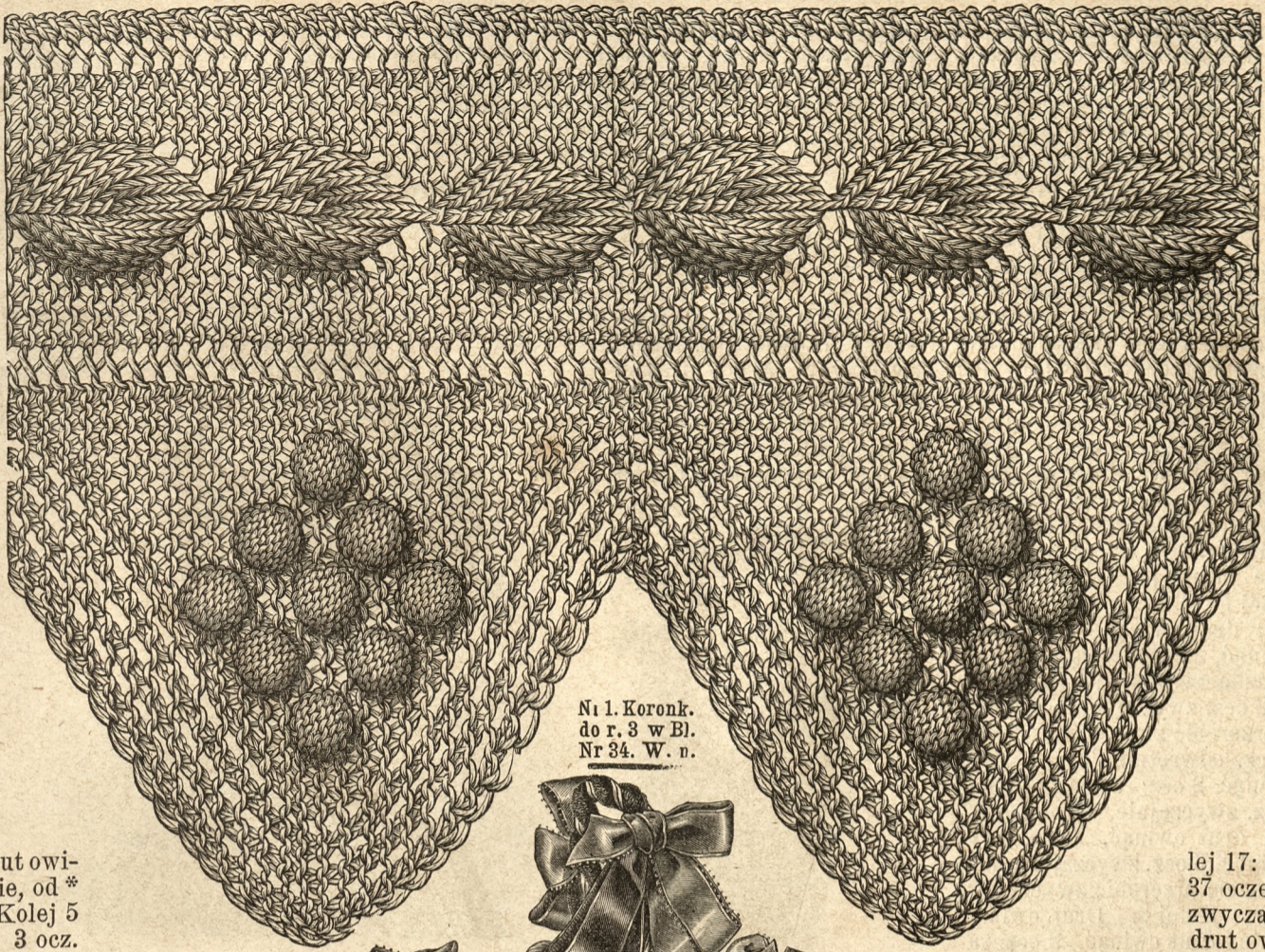
Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 5 Августа 1887 года.

Kapa na łóżko drutową robotą.

Rycina Nr 1 i ryc. 18 w Bl. Nr 34.

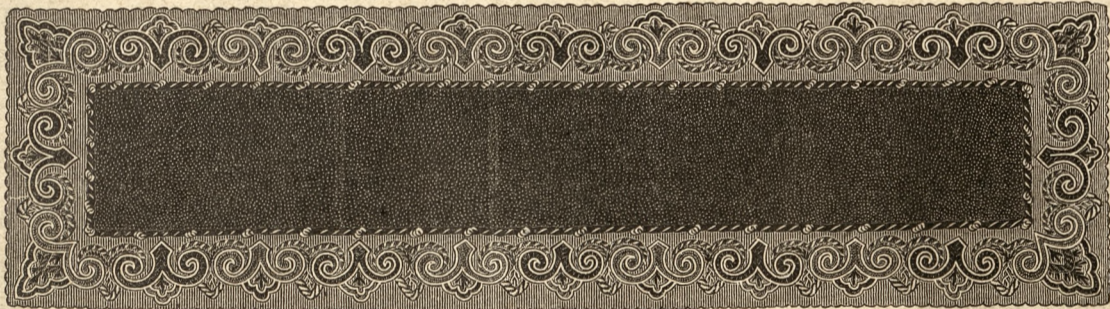
Kapa złożona z kwadratów wykonanych na drutach bawełną „Estremadura“. Każdy kwadrat (rycina 19 w Bluszczu Nr 34) rozpoczyna się od środka na założeniu z 8 pow. o. na których kolej 1 należy wykonać w kółko robotą zwyczajną. Kolej 2: 4 razy naprzemian: drut owinać, 2 oczka zwyczajnie. Kolej 3: 4 razy naprzemian: 1 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 4: * owinać drut, 1 ocz. odwr. drut owinać, 2 ocz. zwyczajnie, od * powtórzyć 3 razy. Kolej 5 ciągle naprzemian: 3 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 6: * drut owinać, 3 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie, od * powtórzyć 3 razy. Kolej 7: 4 razy naprzemian: 5 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 8: * drut owinać, 2 ocz. odwrotnie, drut owinać, 1 ocz. odwrotnie, drut owinać, 2 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie, od * jeszcze 3 razy powtórzyć. Kolej 9: 4 razy naprzemian: 9 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 10: * drut owinać, 3 ocz. odwr., 3 razy naprzemian: drut owinać, 1 ocz. odwr., drut owinać, 3 ocz. odwrotnie, drut owinać, 2 ocz. zwyczaj., od * 3 razy powtórzyć. Kolej 11: 4 razy naprzemian: 15 oczek odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 12: * drut owinać, 2 ocz. odwrotnie, 2 razy naprzemian: drut owinać, 1 ocz. odwrotnie, drut owinać, 7 ocz. odwrotnie, 2 razy naprzemian drut owinać, 1 ocz. odwrotnie, drut owinać, 2 ocz. odwrotnie, 2 oczka zwyczajnie, od * powtórzyć 3 razy. Kolej 13: 4 razy naprzemian: 23 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 14: * drut owinać 3 ocz. odwrotnie, 4 razy naprzemian, drut owinać, 1 ocz. odwrotnie, poczem 8 ocz. stracić w następujący sposób: 3 ocz. odwrotnie razem przerobić, 3 ocz. następne również przerobić + następne ocz. odwrotnie, 2 ocz. ostatnie pozostałe na prawym drucie, zebrać na lewy drut, poczem ostatnie oczko założyć na przedostatnie, znowu na prawy drut zebrać i ocz. przedostatnie



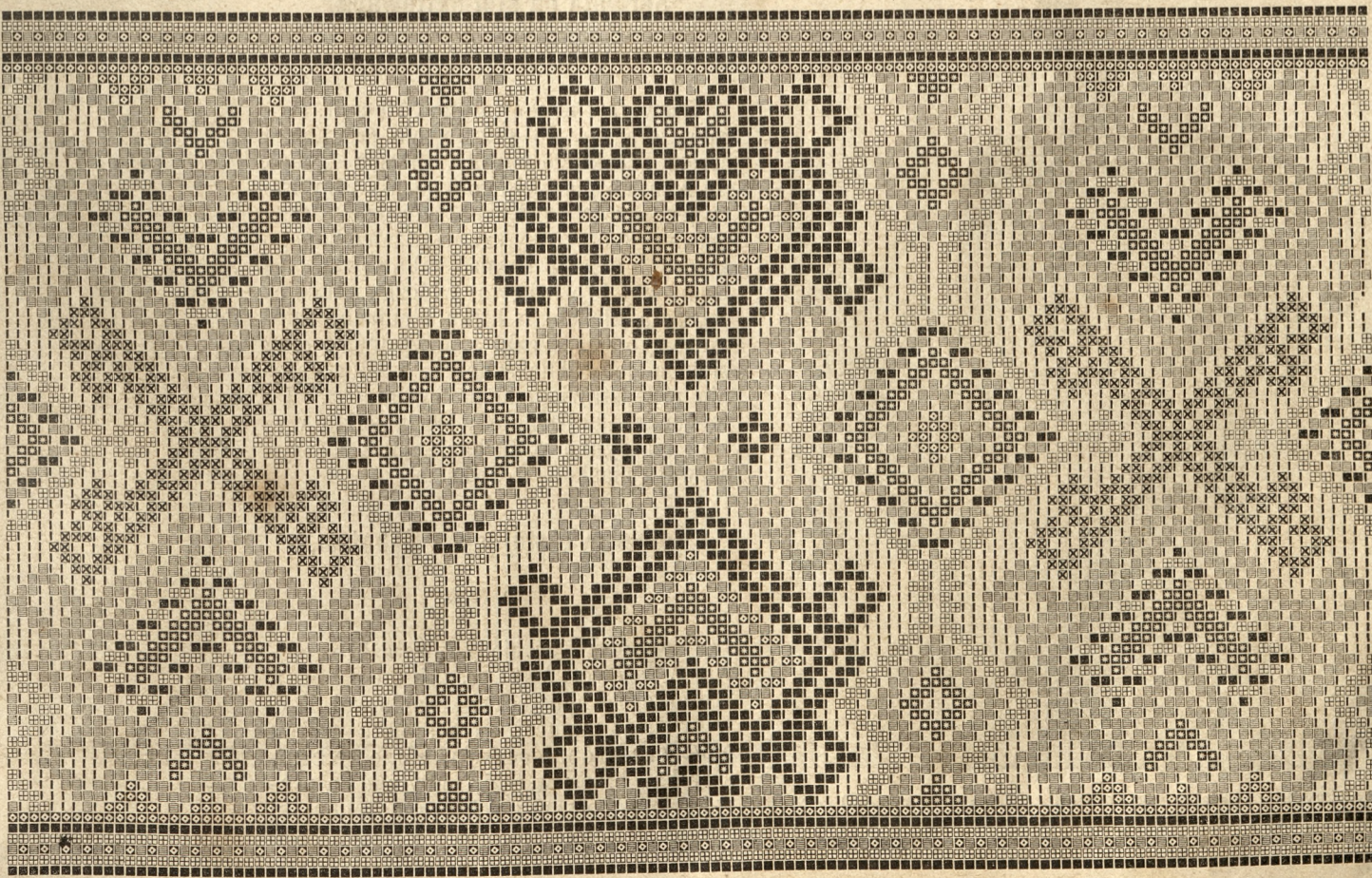
Nr 1. Koronk. do r. 3 w Bl. Nr 34. W. n.



Nr 2. Koszyk do kluczyków. Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 64.



Nr 3. Serwetka na stół płaskim, rybiej łuszczi i pocztowym ściegiem. (Do ryc. 18).



Objaśnienie znaków: ■ brązowy, □ pąsowy, □ niebieski, * ciemno-zielony, □ jasno-zielony, ■ żółty, ' tło. Nr 4. Pas na meble krzyżową robotą.

znowu na ostatnie założyć, od + dwa razy powtórzyć, 4 razy naprzemian: 1 ocz. odwrotnie, drut owinać, 3 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie, od * 3 razy powtórzyć. Kolej 15: 4 razy naprzemian: 25 o. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 16: * owinać drut, 2 ocz. odwrotnie, dwa razy naprzemian, drut owinać, 1 o. odwr., drut owinać, 7 o. odwr., 3 razy naprzemian drut owinać, 1 ocz. odwrotnie, drut owinać, 7 o. odwr., 2 razy naprzemian, owinać, 1 o. odwr., owinać, 2 ocz. odwr., 2 o. zwyczaj., od * 3 razy powtór. Kolej 17: 4 razy naprzemian: 37 oczek odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 18: * drut owinać, 3 ocz. odwrotnie, + 4 razy naprzemian: owinać drut, 1 o. odwr. i 8 o. zebrać jak poprzednio, 1 ocz. odwrotnie, od + jeszcze raz powtórzyć, poczem 3 razy naprzemian: drut owinać, 1 ocz. odwrotnie, drut owinać, 3 ocz. odwrotnie, drut owinać, 2 ocz. zwyczajnie, od * powtórzyć 3 razy. Kolej 19: 4 razy naprzemian: 35 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 20: * drut owinać, 4 ocz. odwrotnie, + drut owinać, 7 ocz. odwrotnie, 3 razy naprzemian, drut owinać, 1 o. odwr., od + raz powtórzyć, drut owinać, 7 o. odwr., drut owinać, 4 o. odwr., drut owinać, 2 o. zwyczajnie, od * powtórzyć 3 razy. Kolej 21: 4 razy naprzemian: 47 o. odwr., 2 ocz. zwyczaj. Kolej 22: * drut owinać, 5 o. odwr., + 8 o. zebrać jak poprzednio, 1 o. odwr., 4 razy naprzemian: owinać, 1 o. odwr. od + jeszcze 1 raz powt., potem 8 o. zebrać, 5 o. odwr., drut owinać, 2 o. zwyczaj., od * powtór. 3 razy. Kolej 23: 4 razy naprzemian: 33 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczajnie. Kolej 24 i następnne koleje, aż do 96 kolei podług deseni, od 49 kolei należy przerabiać każdy narożnik oddzielnie, tracąc oczka podług formy kwadratu. Wykonawszy dowolną ilość kwadratów, należy kółkę zakończyć koronką ryciny 1. Te ostatnie należy rozpocząć na założeniu z 25 oczek. Kolej 1 z powrotem: 1 ocz. zebrać, 2 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 ocz. zwyczajnie razem przerobić (każda kolej nieparzysta w ten sposób się

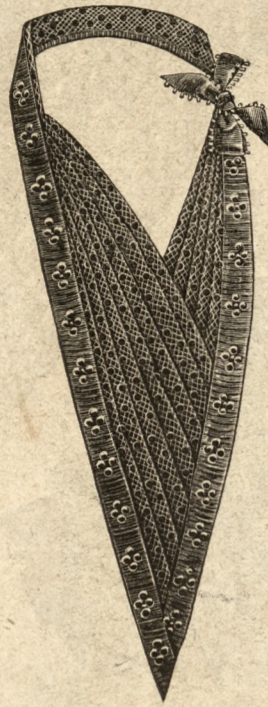
zaczyna) 3 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 1 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 5 o. zwyczaj., drut owinać, 2 ocz. razem przer., 1 zwyczaj. o., 3 razy naprzem: drut owinać, 2 ocz. razem przerobić zwyczajnie, potem 2 razem ocz. przerobić zwyczajnie. Kolej 2: Drut owinać, 10 o. zwyczajnie, drut owinać, 2 o. przerobić razem, 3 ocz. zwyczajnie, 3 ocz. odwrotnie, 5 ocz. zwyczajnie, 2 ocz. zwyczajnie razem przerobić, 1 ocz. zwyczajnie. Kolej 3: 2 razy naprzemian: po 3 ocz. zwyczajnie, drut owinać, poczem 5 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 ocz. zwyczajnie razem przerobić, 2 o. zwyczajnie, 3 razy naprzemian, drut owinać 2 ocz. zwyczajnie razem przerobić, 1 oczko zwyczajnie, ostatnie 7 oczek każdej nieparzystej kolei, aż do 29 kolei włącznie, w ten sam sposób się przerabia. Kolej 4: Drut owinać, 11 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 ocz. razem zwyczajnie przerobić, 3 ocz. zwyczajnie, 5 ocz. odwrotnie, 5 ocz. zwyczajnie, 2 ocz. zwyczajnie razem przerobić, 1 zwyczajnie ocz. Kolej 5: 3 ocz. zwyczajnie, 2 razy naprzemian: drut owinać, 5 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 ocz. razem przerobić zwyczajnie, 3 oczka zwyczajnie. Kolej 6: Drut owinać, 12 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 ocz. raz przerobić zwyczajnie, 3 ocz. zwyczajnie, 7 ocz. odwrotnie, 5 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 ocz. razem przerobić zwyczajnie, 1 ocz. zwyczajnie. Kolej 7: 3 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 7 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 5 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 ocz. razem przerobić zwyczajnie, 4 ocz. zwyczajnie. Kolej 8: Drut owinać, 13 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 ocz. razem przerobić zwyczajnie, 5 ocz. zwyczajnie. Kolej 9: Drut owinać, 9 ocz. zwyczajnie, 5 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 ocz. razem przerobić zwyczajnie, 5 ocz. zwyczajnie. Kolej 10: Drut owinać, 14 ocz. zwyczajnie drut owinać, 2 ocz. razem przerobić zwy-

czajnie, 3 ocz. zwyczajnie, 11 ocz. odwrotnie, 5 ocz. zwyczajnie, drut owinać, 2 oczka razem przerobić zwyczajnie, 1 ocz. zwyczajnie. Kolej 11 i następne koleje aż do 60 kolei, stanowią jeden zab, poczem należy powtarzać to samo, aż do potrzebnej długości koronki.

Koszycek do kluczyków.

Rycina Nr 2. Wzór odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 64.

Koszyk częścią lakierowany, częścią poślaczany, wysłany w środku atłasem poziomkowego koloru, z wierzchu zaś przyozdobiony haftem wykonanym na bledo-niebieskim pluszu



Nr 11. Kamizelka z tiulu i repsu „ottoman“.



Nr 15. Okrycie z angielskiego koronku. Przód. (Do ryc. 16). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18-22.

i kokardkami z wstążki w odpowiednich dwóch kolorach. Dla wykonania haftu należy deseń z fig. 64 przerysować na białe sukno, kontury odznaczyć lancuszkowym ścięciem brązową filozelą, środek zapelnąć ścięgami rybiej łuszczyki, poziomkową i brązową filozelą, tudzież skręconym w pętelki złotym kordonem.

Po wykonaniu haftu należy wyciąć tło sukienne pomiędzy arabeskami deseniu, podłożyć haft atłasem poziomkowego koloru, przymocować następnie na bledo-niebieskim pluszu wielkości podłużnych ścian koszyczka, podłożyć cienką warstwę waty i zamocować na koszyczku; draperie z pluszu zdobią przeciwległe boki koszyczka. Pałeczki należy owinać paskiem pluszowym i przyozdobić kokardkami.

Serweta na stół haftowana.

Rycina Nr 3 i 18.

Serweta 150 cent. długa, 30 cent. szeroka, służąca do przykrycia środkowej części greckiego stolika. Przez środek tła z sukna piaskowego koloru, przyszyty jest pas 12 i pół cent. szeroki z pluszu pasowego, otoczony sznurem miedzianego koloru. Brzegi sukna zahaftowane są brązową i oliwkową włóczką, tudzież ceglastą filozelą w kilku cieniach, ścięciem rybiej łuszczyki i pocztowym, oraz zieloną jedwabną sznelką, podług deseniu przedstawionego na rycinie 18. Po wykonaniu haftu należy wyciąć maszynką w drobne ząbki i podszyc serwetą piaskowym atłasem.

Kołnierzyk stojący z żabotem.

Rycina Nr 5.

Kołnierzyk zrobiony z wstążki repsowej w pasowe i żółte prażki, 6 i pół cent. szerokiej i z chusteczki koronkowej 35 c. w kwadrat mającej. Na środku przodu należy zaszyć faldeczkę w górze, 6 cent. szeroką, brzeg wstążki odwinąć na prawą stronę, poczem wyciąć środek chustki



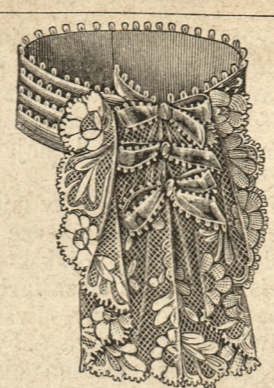
Nr 5. Kołnierzyk z żabotem.



Nr 7. Kapelusz słomkowy.



Nr 10. Kryzka do obszycia stanika przy szyi.



Nr 6. Kołnierzyk z żabotem.



Nr 9. Kapelusz z galonów słomkowych.



Przód.

Nr 13 i 14. Suknia strojna na ranne spacery u wód.

Plecy.

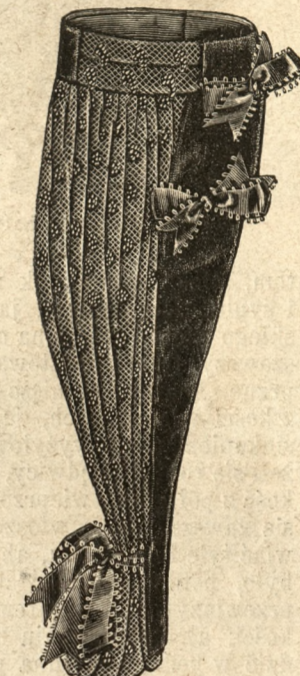
Opis odwr. str. tabl.

koronkowej, ułożyć jedną połowę w żabot podług wzoru, drugą zaś wyłożyć na wstążce i zamocować na takowej, z tyłu dla ukrycia zapięcia należy przyszyć kokardę z wstążki.

Kołnierzyk stojący z żabotem.

Rycina Nr 6.

Ukroiwszy dwie połowy kołnierzyka z muślinu, 6 i pół cent. szerokie, a 17 c. długie, należy naszyć takowe wazkami ukośnemi pliszkami z jedwabnej gazy i wstążeczkami z pikotowym brzeżkiem, poczem ułożyć żabot z koronki 10 centim. szerokiej i związać z przodu trzema kokardka-



Nr 12. Kamizelka z aksamitu, dżetowego tiulu i wstążki.

mi z wstążki. Do zapięcia służą drobne hafteczki przyszyte z tyłu. Koronki na ten żabot potrzeba 75 cent.

Kapelusz słomkowy.

Rycina Nr 7.

Okrągły kapelusz z brązowej angielskiej słomki z niską główką i szerokim rondkiem, podszytym brązowym aksamitem. Przybranie stanowią dwa puszyste i długie pióro stusie, z których jedno przeprowadzone jest z prawego boku pod rondko.

Kapelusz muślinowy.

Rycina Nr 8.

Na rondko tego kapelusza należy ukroić szarfkę z muślinu w rzucik, 30 c. szeroką, złożony takową przez środek szerokości, ścieć brzegi na 6 cent. do stracenia, przesyć trzy razy, ściągnąć na druciki, z tyłu zeszyć brzegami, nadać formę właściwą przez odpowiednie naginanie drucików, połączyć z główką z petynety, wreszcie przybrać muślinem i aksamitką pasową, tudzież ptaszkami ze sterzącymi skrzydełkami, podług wskazania ryciny.

Kapelusz z słomkowej pleśni.

Rycina Nr 9.

Kapelusz ten zrobiony jest z przezroczystej pleśni, z główką nieco śpiczastą i podgięciem z tyłu rondkiem, podszyty zielonym „satin-merveilleux“ i podpięty dwoma bukiecikami z herbacianych róż z liśćmi i pączkami.

Naróżnik z tiulu koronkowego i repsu „ottoman“.

Rycina Nr 11.

Ukroiwszy z grubego muślinu foremkę napierśnika 39 cent. długą, a 16 cent.

szeroką, należy ścieć takową z dwóch brzegów do stracenia, tudzież wyciąć pod szyją śpiczasto na 9 centim., zostawiając z każdej strony 2 cent. na oszewkę; poczem przybrawszy formę tiulem koronkowym podług ryciny, u brzegu dać pliszkę z repsu „ottoman“ i przyozdobić takową dżetem.

Napierśnik z aksamitu, tiulu dżetowego i wstążek.

Rycina Nr 12.

Ukroiwszy z merli wylóg 48 centimetr. długi, u góry 8, u dołu 1 i pół cent. szeroki, należy obszyć takowy aksamitem czarnym, podszyć materyą, podciąć pod szyję na 6 c. wreszcie połączyć wylóg z upliowaną draperią z tiulu haftowanego dżetem, u góry zmarszczoną na 12 cent., u dołu na 12 cent. założoną, oraz z kołnierzykiem częścią z aksamitu, częścią z tiulu; trzy kokardki z czarnej repsowej wstążki z pikotowym brzeżkiem, uzupełniają całość podług wskazania ryciny.

Podstawka haftowana.

Rycina Nr 17 i 19.

Podstawka mająca 24 cent. w kwadrat, z popielatej kanwy „antique“, naszyta w środku kwadratem z pluszu pasowego, haftowanym szlakiem przyozdobiona. Deseń na haft przedstawia rycina 19. Kratkę należy wykonać brązową włóczką, kwadratki pasową sznelką w dwóch cieniach i złotym kordonkiem. Szlaczki brązowe roboty, brązową włóczką wykonane, naszyte są przez środek skrętem ze sznelki i metalowego sznureczka. Frenzla z pasowej włóczki na pasmanteryjnej torsadce, stanowi zakończenie podstawki podług ryciny.



Nr 16. Okrycie z angielskiego koronku. Plecy. (Do ryc. 15).

Przepisy gospodarskie.

Likier z głogu.

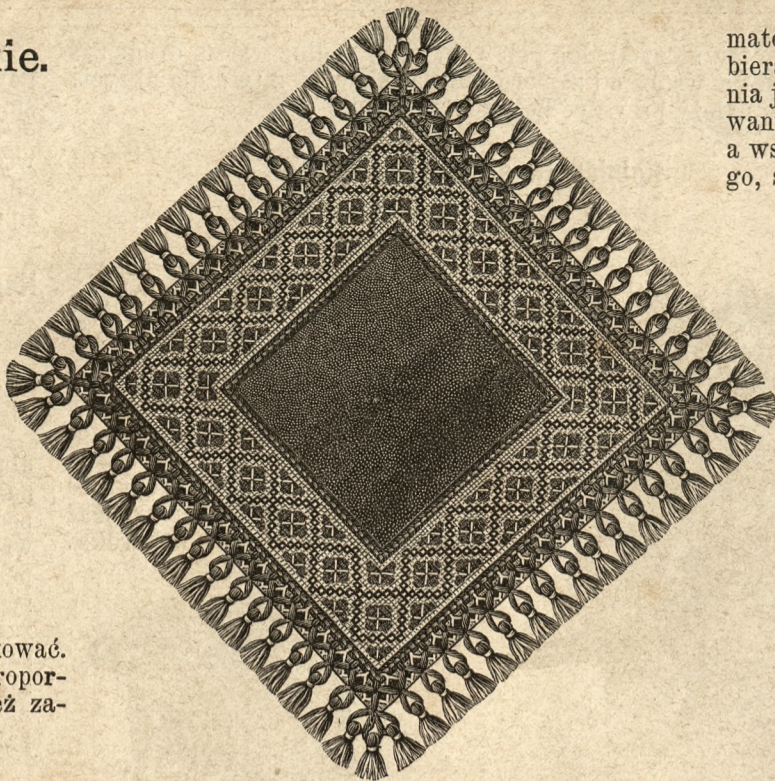
Znaną jest wyborna konfitura z głodu, czyli owocu z nasieniem dzikich róż. Otóż na konfiturę bierze się owoc, jak tylko koloru nabierze — na likier zaś nie można go inaczej użyć, aż gdy go mróz zwarzy. Wziąć kwartę takiego przemarzniętego głogu, rozgnieść go wałkiem w donicy, nalać dwoma kwartami dobrej pół na pół czystej wódki, wsypać dwa funty tłuczonego lodowatego cukru i postawić wszystko wlane do gąsiora na 10 dni w ciepłym miejscu, na przykład w ogrzonym dobrze pokoju przy piecu. Po dziesięciu dniach, w ciągu których często gąsior klócić — przefiltrować przez bibułę szwedzką, pozlewać w butelki i zakorkować. Kto chce mieć mniej słodki, na tę samą proporcję może wlać trzy kwarty wódki, lub też zamiast dwóch funtów cukru, użyć tylko funt.

Ogórki kwaszone na zimę.

Małe, zielone, świeże ogórki w końcu Sierpnia, nalać na 24 godzin bardzo silnym roztworem soli kuchennej — biorąc funt na każdą kopę, — a wody tyle tylko, aby się zamoczyły. Na drugi dzień wybrać ogórki i powycierać czystą suchą ściereczką. Mieć baryłkę suchą, wsypać na dno liści winogronowych i bobkowych, ułożyć warstwę ogórków — wsypać trochę pieprzu — znowu liście i znowu ogórki, aż do samego wierzchu. Wtedy zalać ostudzoną wodą przegotowaną z solą, biorąc funt soli na cztero-garncową baryłkę — zaszpontować i jeżeli kto pragnie mieć prędko ogórki do użycia, trzymać je kilka dni w ciepłe, przewracając codziennie baryłkę — jeżeli zaś nie pilno, to wstawić do piwnicy — przewracając często, a będą dobre cały rok. Naturalnie, że po otwarciu baryłki, nie można jej więcej przewracać.

Serdelki z mięsa wieprzowego.

Na serdelki bierze się mięso z polędwicy lub łopatką, z której również są dobre, kraje się po-



Nr 17. Podstawka haftowana. (Do ryc. 19).

tem, sieka nożami jak można najdrobniej, soli i sypie nieco korzeni jako to: pieprzu i angielskiego ziela, sypać na oko do smaku. Wymieszawszy, trzeba kosztować, czy dosyć słone i pieprzne, sparzyć to mięso wygotowanym smakiem z kości wieprzowych, jako też i żylek, bo przed siekaniem mięso wyżyłowane być powinno, a jeżeli się robi z polędwicy, to można także wziąć kość z pół głowy wieprzowej. Do smaku dodaje się zawsze trochę włoszczyzny; parząc, trzeba wlać tyle tego rosółu, aby mięso zbyt rzadkie nie było, potem napychać cienką wieprzową kiszkę, przewiązywać szpagatem serdelki zwykłej wielkości, a po ukończeniu tego działania zaraz wędzić w beczce bez dna przez trzy godziny, nad wiórami lub gałęziami nie zbyt suchymi.

Dym powinien być ciepły, a beczka z wierzchu przykryta rogożą lub płótnem, poprzednio zamoczonym w wodzie, aby się od dymu nie zapaliło. Wędzić od 3 do 6 godzin, stosownie do gorącego dymu.

L. Ć.

materyi. Materiał farbowany łupinkami, nabiera nadzwyczajnej miękkości, sposób farbowania jest nader tani i łatwy, zasadza się na gotowaniu przez kwadrans materiału z farbą; a wszystkie cienie od jasnego do najciemniejszego, są ładne i nie blakną nigdy.

Łupinki gotują się w miękkiej wodzie, póki odwar nie nabierze mocno-żółtego koloru, stosownie jak kto chce mieć ciemniejszą lub jaśniejszą farbą. Każdy wie zapewne, że mocny odwar z łupinek orzechowych, wystarcza żeby z włosów siwych, stały się śliczne ciemne. Do użytku można zachować sucho łupinki, albo zwilżone cokolwiek, wsypać w jakie naczynie szklane; przez leżenie łupinek, farba będzie jeszcze mocniejszą, niż ze świeżych.

L. Ć.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa poziomkowa z biszkoptami.
2. Kotlety baranie sos „soubise“.
3. Kalafior.
4. Pularda z kompotem z wisien.
5. Jabłka w cieście.

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w 34 i 35 numerze Bluszczu podać się mające.

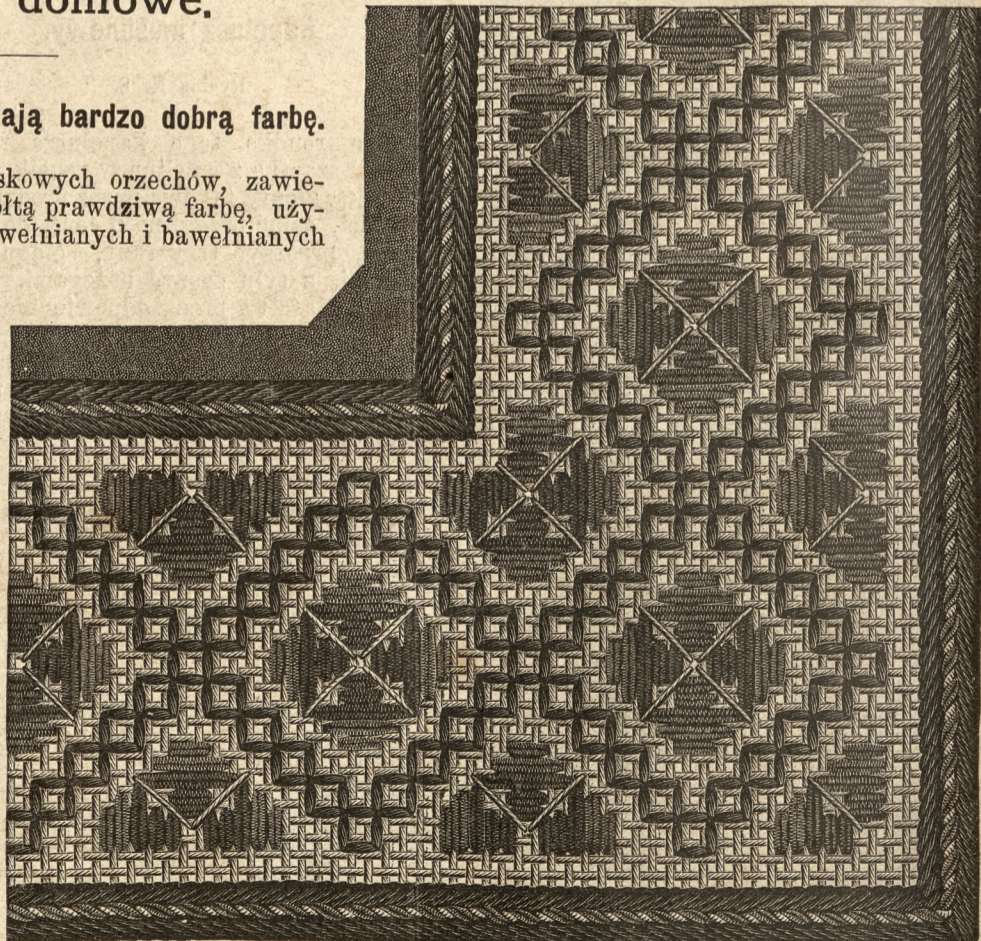
Środki domowe.

Łupinki orzechowe dają bardzo dobrą farbę.

Łupinki zielone laskowych orzechów, zawierają w sobie ciemno-żółtą prawdziwą farbę, używaną do farbowania wełnianych i bawełnianych



Nr 18. Część heftu na serwetę ryc. 3.



Nr 19. Część haftu na podstawkę ryc. 17. Wielkość naturalna.